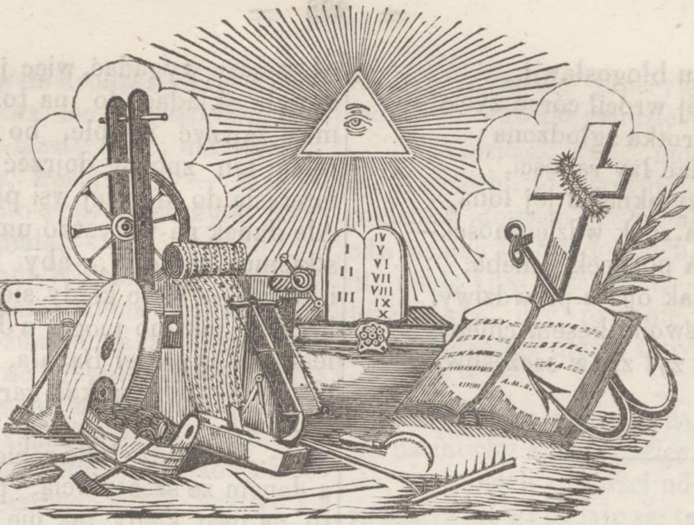
№ 38.

Warszawa

Dnia 9 (21) Września 1856.

Niedziela

19ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Daj, prosimy Panie! aby się lud Twój strzegł zarazy czartowskiéj, a Ciebie Boga samego czystem sercem szukał. (Modlitwa kościelna na niedzielę 19 po Świątkach).

Ojciec pocieszony.

—

W pewném miasteczku żył wdowiec bogaty.
Bóg go nawiedził, ciężką zesłał chwilę:
Jedna z dwóch córek, przed czterema laty
Poszła za matką— spoczęła w mogile.—
Chociaż mu drugie pozostało dziecię,
Niemniéj dla ojca wielką była strata,
Żył jakby obcy przechodzień na świecie,
Zdala od ludzi smutne pędząc lata.
Pieszczoty córki, jéj słodkie uśmiechy,
Nie były w stanie spędzić troski z czoła,
Bo myślał sobie: „może za me grzechy,
„I tę Bóg wkrótce do siebie powoła!..."
Raz gdy się poszedł pomodlić na grobie,
Gdzie żona z córką spoczęły zbyt wcześnie,
W powrocie do dom, opłakując obie,
Ujrzał dziewczynkę jęczącą boleśnie.—
Więc się jéj pyta: „i cóż ci to mała?—
Możeś przeziębła w téj nędznej odzieży?"
—Głód mi dokucza, od zimnam skostniała,
—I idę skonać, gdzie już matka leży!—
„Nie trać nadziei, pociesz się kochanie!
„Ja ci pomogę, boleść się złagodzi,
„A pośród cierpień, Chrystus ci zostanie,
„On sam łzy ronił, więc i twe osłodzi.—
I to wyrzekłszy, wziął z sobą sierotę,
W serce mu zaraz spłynęła pociecha,
Bo kto z nas jaką tu wypełni cnotę,
Temu się przyszłość nadzieją uśmiecha.—
Wracał do miasta; zdala jego dworek
Zdał mu się, że się w milszą postać stroi,
Za nim szło dziewczę, szeptało paciorek,
Rade, że wkrótce głód swój zaspokoi.—
Już byli blisko, dochodzili miasta,
Gdy wtem— dym buchnął, objął dwór do koła.
Poskoczył biedny, ale promień wzrasta,
Może już córki ocalić nie zdoła...
Przybiegł, chce lecieć pomiędzy płomienie,
Widzi— z szkatułką wyskoczył ktoś z góry,
Zwraca się za nim, odbiera swe mienie,
Wtem jęk go doszedł ukochanéj córy.—
Rzuca szkatułkę, robi krzyża znamie,
Boga na pomoc, Ojca—ojciec wzywa,
Wpada do środka, choć belka się łamie,
I dziecię lube z płomieni wyrywa.—
Wtedy ocenił, co mu Bóg zostawił,
Gdy przy swem sercu czuł jéj serca bicie,

Wtedy i życiu swemu błogosławił,
Gdy przez nie drogiéj wrócił córce życie. —
A przy szkatułce sierotka zgłodzona
Stała na straży, roniąc łzy radości,
I jęk się żaden nie wymknął z jéj łona,
Bo dobroczyńcy dała znak wdzięczności.—
Wziął ją za córkę, za podarek z nieba,
Kochał jak dziecię, jak ojciec prawdziwy,
Dzielił się z bliźnim swoim kęsem chleba,
Poznał, co radość—i żył znów szczęśliwy. —

F. Czerwiński

Pogadanki starego rolnika.

VI.

Czy przypominacie sobie Janka Goździaka, owego gospodarza w Marusicach, co to prosty był jak hojak w lesie, a choć już w szóstym krzyżyku i z siwą głową, równie czuprynę miał gęstą, jak żytko w polu?

Otóż razu jednego po jakimś tam pańskim interesie wypadło mu być w Warszawie. Chłopiskom bez niego dosyć się markociło, bo już nawykli do mądréj gadki Janka, co z niéj mało wiela zawdy się cosić w głowie pozostało, więc jak wrócił, a wypadło jakoś to na święto, tak po południu zeszła się do niego nielada jaka gromada ludzi, żeby go i powitać z podróży, i rozmówić się z nim o tem, co tam widział, albo słyszał nowego.— Ale Janek czegoś strasznie był markotny, bo choć rad był wszystkim i z każdym się rozgadywał, ale widać, że miał jakiś frasunek na głowie, bo często pochmurniał, marszczył czoło, że mu się aż brwi do kupy schodziły, a gdy jednę rękę spokojnie trzymał w zanadrzu, drugą często gęsto tak skubnął i targnął wąsa, jak na urwanie.— Chłopiska zaczęli to miarkować, że Jankowi cosić brakuje, jaki taki szepnął o tem do drugiego, i jak się wszyscy obnieśli, tak się poczęli wybierać ku domowi. Janek zobaczywszy, odezwał się z przyjaźnią:

—,,Moi ludzie, a cóż wam tak pilno?—przecieć do wieczora daleko, to dobrze, że jeszcze jaki ta kąsiołek czasu razem się zabawiewa.— Moi sąsiedzi, moi przyjaciele!"

Że każdy człek musi mieć w gadce politykę, i nie zawdy rzeknie to, co mu ślina do ust przyniesie, to i tu nie wypadało wszystko Jankowi w oczy wygadać, więc jak ludzie miarkowali, zaczęli składać to na to, to na owo, że ten musi zajrzyć w pole, bo mu szkodę w grochu robią; ten znowu dojrzéć dzieci, bo matka po interesie do drugiéj wsi poszła i tak różnie.— Ale Janek na wszystko umiał odrzeknąć, wszystkiemu zaradzić, aby ino duchem zostali i jużcić.— Więc kiedy się ludzie w gadce wykręcają, jak ino mogą, a Janek molestuje i molestuje, tak Józef Bąbała, ten co to przed muchami tak się trzaskał garścią po łysinie, odezwał się.

—,,Moi ludzie! źle robicie, że nie wychodzicie z Janem ze szczerością, po co to składać na to, na owo, kiedy tak nie jest?— Ot! powiedzcie: mój Janie, odchodzimy, bo widzimy, że chodzicie dziś w jakimś frasunku, więc nie chcemy wam być z przeszkodą, i jużcić."

—,,Oj! bajbuga, bajbuga" — poczęli chłopy między sobą szeptać—,,że ta zawdy musi wszystko wygadać! co ta za człek taki."

Bąbała nic na to nie odrzekł, ino splunął, mruknął—,,Niech ta!"— a jednak po chwili odezwał się:

—,,Bóg wam zapłać, moi sąsiedzi, że macie takie baczenie na starego Jana.— Ale widzicie, frasunku nie mam żadnego, Bogu dzięki, ino wczoraj, kiedy już dojeżdżałem do wsi, spotkałem Szczepana Krychę, co wracał parą końmi wozem z lasu.— Co ta się on ich nabił, co namordował, to biedne szkapiny aże stękały pod górę. — Bo to biedactwo i głodne, i chude, boki pozapadane, żebrzyska by o staje drogi porachował, poobcierane, zbite, poranione, niech Bóg broni!— A co much na nich, bąków różnych, to aż skóra cierpła na człowieku. —A tu fura taka wielka, tak drzewem wyładowana, że po równiznie to jeszcze fracha, ale pod górę, to ani sposób, żeby mogły wyjść z takim ciężarem.— Ja jadę naprzeciw niego, a on bije, morduje po łbie, po szyi, pod brzuchem, szkapiny się kręcą z bólu, aże drżą całe, szarpią się, wytężają do ostatniego, oczy wyłażą na wierzch, że aż przykro spojrzeć, co ta widać w nich jakby proszenie o zmiłowanie, jakby łzy z płaczu na taką nad sobą nieuczciwość.—Ale Szczepan, moi ludzie, nic na to nie zważał, od bicia zerwał bat, złamał biczysko, potem chwycił w obie ręce ogromne polano, i jak zaczął niem okładać boki, to ino kości chrobotały, nikiéj skorupy z garnka.— I biedne bydlątka przypadły

do ziemi, pokładły łby na drodze, jakby chciały rzeknąć—„*zabij nas, ino prędko, ino nas tak nie katuj*“— i tak leżały nikiéj nieżywe.

—„A i otoście tak frasobliwi?“— zapytał Wojciech Gajda, co to o pożyczenie żyta przychodził do Janka z Bąbałą.

—„A juźcić o to, mój Wojciechu“— odrzekł Janek—„boć to także stworzenia Boskie, a takie poczciwe, takie rozumne, takie przywiązane do swego domu i do gospodarstwa, i tak Bóg stworzył ptaka, wołu, albo konia, jak dał życie człowiekowi.— I jakże moi ludzie! nie ma mi być smutno, kiedy się widzi, że człowiek co mu Bóg dał i rozum i mowę, a tak pastwi się nad biedném bydlęciem, co mu nic nie winno, ino pracuje na niego, jak umie, i jak ino może.“

—„Wszystko to prawda, moj Janie“— odezwał się Bąbała—„ale równie co człek, to człek, a co bydlę, to bydlę. — Bo cóż z bydlęciem?— ni gadki żadnéj, ni......“

—„Albo to prawda?“— przerwał Gajda— „wasz kary, na ten przykład, to nigdy nie wlazie w owies na waszym połanku, ino albo w mój, albo w czyj inny. — To skądżeby wiedział, czyj który polanek, gdybyście mu tego nie powiedzieli?— A przecieć jakem go raz uchwycił, i zacząłem smarować batem, to mi rzekł ino pod wielkim sekretem: mój Gajdo, mnie dajcie pokój, a weźcie się lepiéj do mego gospodarza Bąbały, bo on zawdy na noc nie daje mi obroku, ino puszcza luzem, i rzecze:— idź karoszku w jarzyny, to ta chycisz tu trocha, tam trocha, i pożywisz się i juścić.“

—„No— i puściliście go?— zapytał Franek Guz ze śmianiem się, jeden z najlepszych i najporządniejszych gospodarzy,

—„Ba!— juźcić puściłem“-- odrzekł Gajda—„ale mu rzekłem, żeby powiedział gospodarzowi swemu, że tak umyślnie bydlę w szkodę pędzić, to i nie po sąsiedzku, i nie poczciwie i nie po chrześciańsku.— Jakże Józefie! powiedział wam?

Że Gajda wszystko to mówił tak, jakby na prawdę, więc cała gadka bez to strasznie była śmieszna, i kiedy Bąbała cały stał w ogniu od wstydu, ludziska ino dusili śmiech w sobie.— Wreszcie widząc Bąbała, że duchem wypada mu coś na to odpowiedzieć, odkrząknął, machnął ręką przed sobą, niby odganiając muchy, i raz poraz chlapiąc się garścią po łysinie, mówił, ale strasznie przerywano, jakby jąkała i jechał do tego po grudzie:

—„Widzicie.....te..... moi ludzie..... co ta rzekli Wojciech...to miarkuję, że......“—i przy tych ostatnich słowach zerwał się z siedzenia, i niby odwracając gadkę do much, co z brzękiem wedle niego latały, zawołał,—„a bodaj was choroba utłukła, czy nasłanie, czy co?—człek słowa rzeknąć nie może, żeby ze dwie do gęby nie wleciały.“

Wszyscy zmiarkowali zaraz, co to gniewanie się na muchy znaczy, więc nikt nie rzekł ni słowa, ino śmiech w garści udusił, boć jakoś z gospodarza nie wypadało się tak publicznie wyśmiewać przy różnych dzieciuchach, co ze starszemi przyszli do Jana.—Więc kiedy z Bąbały dosyć się nacieszyli, po chwili Janek znowu zaczął mówić:—

—„Uciecha uciechą, moi sąsiedzi, a prawda prawdą, że ludowina z końmi tak się obchodzi, że niech Bóg broni.—Ni starunku jak wypada, ni dojadku do sytości, a pracy, a bicia, to aże strach pomyśleć.—Co prawda, że stworzenie to nieme, ale jakie poczciwe, rozumne, to nieraz człowieka przejdzie.—Kiedy służyłem za fornala u nieboszczyka dziedzica, miałem cztery konie, wszystko gniade jak jeden. — Robiło się niemi bo robiło, ale za to tak się obrządzałem wedle nich, że zawdy galanto nikiéj spławy wyglądały.— Codzień je do dnia oczyściłem zgrzebłem, nakarmiłem, napoiłem, potem w robocie za bardzo nie przynaglałem, ino tyle, co wypadło, nie zgoniłem, nie zbiłem, to też moje szkapy tak mnie znały, jakby sobie równego, jakby rozumiały gadkę ludzką, nikiéj człowiek.—Bywało, mam zaprzęgać do wozu, to inom się pokazał w stajni i rzekłem:— „hej! koniczki do roboty“—to moje konie zawdy zarżały do mnie, i potem po jednemu jeden za drugim szły za mną nikiéj psy, bez żadnego prowadzenia. — Potem same czy do wozu, czy do bron szykowały się rychtyg tak, jak chodziły, a jak wieczór powróciłem, to moje szkapska stanęły w stajni na swoich miejscach, ale zadami do żłobów, a łbami na stajnią, żeby łacniéj było z nich zaprzęgi pozdejmować i stały tak, choćby nie wiem jak długo.—Jeden z moich gniadych lejcowy, to strasznie bestyjnik był zuchwały, jak ino obcy wedle niego przechodził, to stulił uszy, ślipia mu się zaiskrzyły nikiéj węgle, i zaraz ła-

bas zębami, albo kopytami czy zadniemi, czy przedniemi, jak było mu dogodniéj.—Mnie jednak, moi ludzie! nigdy nic złego nie zrobił, zawdy poglądał na mnie z wesołością, strzygł galanto uszami; kiedy się do niego odezwałem, lub do kogo innego, choćby nie w stajni, to aby ino mnie dosłyszał, zawdy zarżał radośnie, a jak go głaskałem, klepałem, albo szczotką gładziłem, to mnie delikatno swemi wargami szczypał po ramionach, po plecach, czasem po twarzy, albo po rękach. To potem wadziliśmy się z sobą, ja do niego ze szczotką nikiéj do uderzenia, a on mnie łap za koszulę, albo za kamizelę, ja go za ucho, albo za grzywę lub ogon pociągnąłem, to on podniósł się na przodku, i zaczął przebierać przedniemi nogami, nikiéjby mnie chciał pod siebie zagarnąć; ja go klepnął po brzuchu albo krzyżu, to on kopnął mnie nogą, ale tak delikatno i pomaluśku, że i maluśkie dzieckoby tego nie czuło.—Po takiem wadzeniu się jak odszedłem od niego, to tak się ciągnął od żłobu, tak się za mną oglądał, tak żałośnie rżał, że zawdy jeszcze raz musiałem się wrócić, poklepać, pogłaskać, i dopiero na nowo chwycił się obroku, albo siana.—Raz na weselu siostry zabałamuciłem się, i zamiast układść się spać pod żłób, to ja położył się między konie, i tak bez całą noc przespałem, i żaden mnie ani nastąpił, ani potrącił, chociaż wpoprzek nich leżałem, że wszyscy wydziwić się nie mogli.—Raz także zachorowałem, położyłem się na sianie w stajni, a że pilna była z siewami robota, więc innego parobka z pańszczyzny dali do moich koni.—Markotno mi było, że moje szkapska pójdą w cudze ręce, ale cóż było robić, kidy robota pilna? To wtedy, moi ludzie! tego dnia cudeńka gniadosze wyprawiali.—Naprzód ze stajni co same szły nikiéj psy za mną, żadnem prawem wyjść nie chciały, ciągnęły się, opierały, a jak wedle mnie przechodziły, to każdy zastrzygł uszami, nachylił ku mnie łba, powąchał, zachrapał, i jakby ze strachem wybiegał ze stajni.—Potem przy zaprzęganiu co zawdy mnie szło jak z dziećmi, hady ustać nie chciały, motały się, plątały, lejcowe stanęły w dyszlu, dyszlowe w lejcu, i potem u roboty, jak ino upatrzyły czas po temu, uciekły z pola, stanęły pod samą stajnią, i zarżały, jakby mnie chciały opowiedzieć, że tak galanto udało się im wykpić. A kiedy moi ludzie! ze zdziwieniem zapytałem się ze stajni:—„Wojtku, czy to już południe?“ — bo myślałem, że już wrócił z pola, to wszystkie cztery na raz jeden zarżały, nikiéj z bicza trzasł, obróciły łby ku stajni, i tak stały, aż się zwlekłem do nich, a ja moi ludzie! to aże zapłakałem, że tyla przyjaźni i przychylności mam u nich dla siebie.—Jakże, moi ludzie, nie powiedzieć, że te bydlęta mają i poczciwość i rozum w sobie?

—„No—ani gadania“—odezwał się Gajda—„ale czasem między niemi to więcéj rozumu, jak poczciwości.—Bo ja, tak dwa roki, kupiłem siwego konia, dwa dni orałem nim w polu, i chodził mi dobrze, trzeciego dnia wyprowadzam z chlewu, patrzę, a tu mój szkapa napada na przednią nogę.—Ha! zafrasowałem się, oglądam, macam, i tak i owak, i nic nie mogłem pomiarkować.—Nasmarowałem mu więc nogę wódką, rzuciłem siana, i zostawiłem w doma.—Na drugi dzień patrzę, szkapisko zdrowe, ino przeciąga się, co się bez cały dzień wyleżał, robię nim dzień, dwa, i znowu trzeciego dnia okulał.—Ja znowu do wódki, do smarowania, i tak było cosić tego ze trzy razy.—Aż wreszcie brakło mi cierpliwości, bo mi zawdy kulał w najpilniejszy czas, tak kiedy frasuję się, jak se tu radzić, patrzę, a mój siwek trzyma nogę zgarbioną, łeb ku ziemi pochylony, czasem się zachwieje, jakby na upadnięcie, i tak śpi, że o zdrę co nie chrapi. —Tak myślę sobie, poczekaj, ja cię tu zaraz otrzeźwię —jak nie wezmę kubeł świeżéj wody, jak nie chlusnę mu prosto w łeb, jak mój siwek nie skoczy .i nie pójdzie w podwórze, to ino się kurzyło za nim.—Ale patrzę, idzie zdrowo i nie napada, więc go do brony zaprzęgam, aż znowu sztykut, sztykut. — Wtedy dopiero zmiarkowałem, co znaczy jego kulenie, i od tego czasu jakem go zaczął za każdą razą oblewać kubłem wody zimnéj, tak patrzcie, moi ludzie, na piękne zabaczył o kuleniu, i od tego czasu taki zdrów, że już lepiéj nietrzeba.—Widzicie więc z tego, mój Janie, że w siwku moim to więcéj jest rozumu jak poczciwości, bo ktoby pomiarkował, że szkapsko taki przebieg wymyśli.“

—„No—zapewne“ odrzekł Janek—„ale równie wasz siwek to poczciwszy nie od jednego człeka, bo kiedy on radby był co trzeci dzień odpocząć, to między ludźmi są tacy, co całe życie próżnują, a jeżeli idą do pracy, to robią byle zbyć.—Wasz zaś siwek chciał ino od was trzecizny, dwa dni dla was, jeden dla siebie.“

—„Oj! to juda mądra“ — odezwał się Bąbała, potrząsając głową—„ i w bydlęciu i taki przebieg?—no —no!“

—„ Oj że mądry to mądry, to ani gadania“—znowu zaczął mówić Gajda—„bo jak wyjeżdżasz z nim ze wsi, to ledwo, że go tam upchnie, i łeb trzyma ku ziemi, i byle na czem utyka, i nożyska ledwo zbiera;—a jak się wraca do wsi, to tak galanto po świecie pogląda, tak hardo, tak ostro idzie, jakby inny, nie mój siwek.— W marcu rok minęło, kiedy byłem z listem w Boleszynie o sześć mil od naszych Marusic, we dworze nie żałowali państwo poczęstunku, i nakarmili i napoili, jak wypada, a siwek taki dostał obrok i takie siano, że może bez życie takiego nie widział.— Jak odjeżdżałem, to ino se ogona podnosił, a łbem zawdy za siebie ku stajniom, że moi ludzie, musiałem piechotą aż za wieś wyprowadzić, i tam dopiero wsiadłem i ledwo ledwo, zatyrkałem się do gościńca.— Rychtyk tej wiosny, cosić w rok znowu po pańskim interesie wypadało mi przejeżdżać koło Boleszyna, ale jeszcze daléj miałem jechać do Gałkowic.—Tak moi ludzie, jadę se gościńcem, rękę włożyłem w zanadrze, a że słonko świeciło w same oczy, tak se czapkę spuściłem, i jakem se zaczął do głowy przypuszczać i to i owo, tak na piękne począłem drzemać.— Jedną razą jak mój siwek nie zarży, jak się nie ocknę, patrzę, a ja o staje drogi od Boleszyna, i prosto drogą dojeżdżam do dworu......

—„To zeszedł z gościńca?“— zapytało kilku ze słuchających.

—„A zeszedł, moi ludzie“— odrzekł Gajda—„i żeby choć to była droga szeroka, okaźna, i w jednéj linii z gościńcem, no, to jeszczeby była fracha, bo jak spałem, to musiał iść za swoim rozumem, i jak przyszło wybierać, to wszystko była jedność, czy ta, czy ta droga.— Ale to, moi ludzie, drożyna była bardzo niepozorna, szła zukosa, i jadąc nią od gościńca, to człek nikiéj się wracał.— A jednak jak dojechał do niéj, to zaraz se przypomniał poczęstunek we dworze, i jak znajomiec jaki, ani pytał, i zeszedł z drogi nikiéj by do swego domu.“

—„I to w rok czasu?“— zapytano.

—„A w rok— a nawet i na drugi już coś weszło.“

—No, no, a to juda mądra.“

—„O! już to ani gadania“— odrzekł Gajda—„wszędy ma rozum, kaj na swoję korzyść— kaj mu idzie o kałdun albo o robotę— ale w pługu, w wozie, to taki głupi, że nikiéj z nim nie poradzisz ino wszystko z bata i z bata.— Ho—ho!— już że mądrala, to mądrala!“— Jak skończył Gajda, tak każdy z chłopisków wywodził gadkę o swoim koniu, jeden rzekł to, drugi owo, dość, że wszystko tak się składało, że każdy ma mądrego konia. — Wtedy Janek nasłuchawszy się dosyć ludzkiéj gadki, odezwał się:

—„Wszystko to fracha, co wy tu mówicie, ale jakem teraz był w Warszawie, takem widział tam takich komedjantów, co na koniach różne pokazują sztuki; to powiadam wam, że aż człek w głowę zachodzi.— Bo to ich pan stoi w środku, a one same dokoła latają, i co rzeknie, gdzie mu każe iść, czy w tę, czy w tę stronę, tak szkapsko idzie.—Każe mu przeskoczyć przez drążek, to przeskakuje— ciśnie mu chustkę na ziemię i każe mu ją przynieść, albo zagrzebie gdzie w piasku, i każe mu szukać, to szkapsko póty chodzi, póty wącha, póty grzebie nogą po piasku kaj miarkuje, że może być chustka, aż ją znajdzie, i potem dyrdakiem leci z chustką do swego pana, i oddaje mu.— Nakryją mu do stołu, to on se siądzie na zadzie, przedniemi się nogami podeprze, zawiążą mu serwetę na piersiach, i zjada cały obiad.— Lokaje się wedle niego uwijają, odmieniają talerze, a jak mu się zdaje, że długo mitrężą, to tudzież przy nim wisi dzwonek, nikiéj przy zakrystyi;— to se zaraz galanto za taśmę zębami pociągnie, dzwonek zadzwoni, to wtedy lokaje o mało się nie pozagubiają, co tak kręcą się na wszystkie strony.....“

—„Ba!— Bogać ta nie mają się kręcić“— przerwał Gajda, bo jak by złapał którego za łeb albo kopnął nogą, to nie żart, moi ludzie.“ Kręcą się więc, bo wiedzą dlaczego.

„A jużcić, a jużcić“—potwierdzili drudzy, a Janek mówił daléj:

—„Potem naleją mu w kubek wody, a może i nie wody, kto ich tam wie, to weźmie zębami, przechyli, i pije nikiéj człowiek nie przymierzając, że mu w gardzielu ino bulbocze.— Ale to fracha, bo potem moi ludzie! jak muzyka nie zagra *sztaira*, jak mój koń nie stanie na dwóch nogach, i jak się nie chyci ze swoim panem, to tak tańczą nikiéj nie przymierzając parobeczek w karczmie z dziewuchą.

—„O! dla Boga, a cóż ta za konie takie?“—

zapytał Gajda z wielkiem zdziwieniem—„i jakże, i dobrze się mu szykuje?

—„A jakże, równo wszystko z graniem“— odrzekł Janek.— Wtedy Bąbała, co nie mógł widać zabaczyć pokpiwania z siebie Gajdy— odezwał się.

—„To te konie, mój Janie, więcéj mają w sobie składności i rozumu niż sąsiad Gajda, bo się nauczyły tańca, a Wojciech i postarzeli się, i ani weź, że aż śmieszno patrzeć, kiedy się chycą do tańcowania.“

Wszyscy się rozśmieli, aż Gajda zaczerwienił się, i po chwili rzekł:

—„Jakim mnie Bóg stworzył, takim jestem, ale wy prześliście samego komedjanta, bo on nauczył koni swoich tańcowania, a wy waszego karego takiéj sztuki, że jak się w drodze kaj napijecie, i leżycie na wozie bez duszy, to on was z końca świata przywiezie do domu.— Ino że komedjant za pokazywanie bierze pieniądze,a wy za swoje bałamucenie, od ekonoma.“

—„O! strasznieście mądrzy“ — przerwał z gniewem Bąbała—„zawdy wam w gębie mój kary......“

—„A wam, moje tańcowanie“— odrzekł Gajda, i od słowa do słowa przyszłoby może do kłótni, ale Janek zagadał, i wszyscy się ku niemu z oczami i z uszami obrócili.“

—„Jak ta te konie każdy rozkaz swego pana rozumieją, jak przebierają nogami po muzyce, nie będę opowiadał, bo ta ani głowa moja na to.— Ale z tego wszystkiego dokumentnie możecie pomiarkować, że konie i myślą i pamiętają, i rozumieją, bo jakżeby mogły takie rzeczy robić, coście dzisiaj i wy, i ja opowiedziałem, żeby były, ot jak to drzewo w sadzie, albo kamień na drodze?— Więc widzicie, mają swój rozum, i dlatego należy się człowiekowi wedle koni z rozumem obrządzać, nie katować, nie bić, nie przeciążać robotą, wozu zbytnie nie ładować ino tyle, co koń może uciągnąć, nakarmić,napoić, oczyścić, żeby zaprząg był na nim zwygodą, to koń zawdy będzie piękny, wesoły, ochotny do roboty, a nie tak, jak bez obmówiska, wasze szkapska, co więcéj na psa, jak na konia podane.— Jak Bóg da doczekać przyszłéj niedzieli, to wam opowiem dwie historye o koniach, a przekonacie się, moi ludzie, że ila w nich jest rozumu, tyla i poczciwości, że nieraz i człowieka przejdą.“

—„Bóg wam zapłać, mój Janie“— odrzekła gromada, zabierając się do wyjścia — „zostańcie z Bogiem.“—A kiedy szli już drogą, mówił jeden do drugiego.

—„Oj! prawda, że nieraz konie i z rozumem i z poczciwością to przejdą nie jednego człeka; żeby cała ta gadka o koniach w Warszawie nie była wychodziła od Jana, co zawdy żyje prawdą, toby człek prawie wierzyć nie chciał.“

—„A jużcić, a jużcić“ — potwierdzili wszyscy „bo Janek nigdy żadnego nie robi zmyślenia w gadce.“

Wdzięczny druciarz.

„Czcij ojca twego i matkę twoję“ Bóg sam w świętych swoich napisał przykazaniach.—Zaiste! jakiż obowiązek milszy sercu, nad to przyrodzone uczucie miłości synowskiéj, nieograniczone dla rodziców posłuszeństwo— wdzięczność za ich trudy, podjęte około naszego wychowania? I nie dziw, że dziecię kocha tych, którzy mu dali życie, otoczyli miłością i troskliwszemi staraniami—lecz czyliż nie prawdziwie godną podziwienia będzie cnota i szlachetność dziecka, gdy ono umie być wdzięcznem dla obcych za niewiele wyświadczonego mu dobra?

Rozczulający niedawno miałem tego przykład, posłuchajcie. Na Krakowskiem Przedmieściu około Bernardyńskiego kościoła zbliża się do mnie młody, bo zaledwie 13to lub 14-letni druciarz, i zepsutem góralskiem narzeczem zapytuje mnie: *czy nie wiem, gdzie tu jest biuro od przyjmowania pisem i pieniędzy?*

Wiem, mój kochany, odpowiedziałem—na poczcie przyjmują i listy i pieniądze do przesłania — właśnie w tamtę idę stronę, mogę ci więc pokazać.—Druciarz pokornie uchylił swego kapelusza, i pokłonił mi się w milczeniu, dając znać uradowanym wzrokiem, że gotów iść za mną.

Zajęła mnie w sposób szczególniejszy łagodna i piękna twarz młodego górala; przeczuwałem w nim poczciwe serce,—przeczucie nie omyliło mnie bynajmniéj.

—A dużo chcesz posłać pieniędzy? zapytałem.

Druciarz otworzył rękę, i z dumą pokazał mi leżącego na dłoni dukata w złocie.

—I to zapewne dla rodziców.....

—Jam sierota, panoczku! odrzekł mi smutnie;— ojciec i matka umarli, gdy miałem lat cztery. Stara Pawlikowa przyjęła mnie i chociaż sama bardzo biedna, podzieliła ze mną chleb ciężko zarobiony. Dwa roki temu wyszedłem w świat z naszemi, bo trudno było staréj pracować na dużego chłopaka; płakała Pawlikowa, gdym jéj powiedział, że pójdę do Warszawy i puścić nie chciała; musiałem w nocy od niéj jak złodziéj uciekać, pewno się kłopota o mnie, nieboga. Chciałbym jéj posłać ten złoty pieniądz, na który od dwóch lat zarabiam.

—Ale, rzekłem, lepiéj byłoby posłać pieniądze papierowe—mniéj będzie kosztować opłata poczty.

—O nie, panoczku! odpowiedział, u nas w górach złoty pieniądz rzecz rzadka. Pawlikowa pomyśli, żem ja bogaty, i nie będzie jéj tak żałosno po mnie; na opłatę poczty mam tu jeszcze kilka groszy, na życie może Bóg da zarobić, a choćbym też i nie jadł dzień cały, niewielka rzecz. Ona wiele razy od gęby sobie odjęła, abym ja nie był głodny.

Rozczuliła mnie szlachetna i poczciwa prostota chłopczyny; chciałem mu dać kilka złotych, nie przyjął....

—Kup panoczku, pułapkę na myszy, to ci podziękuję, bo będę mieć dziś na obiad i jutrzejszy cały dzień; ale jałmużnę brać, to grzech i nieładnie, jak mówili stara Pawlikowa.“ Zakupiłem wszystkie pułapki od dobrego druciarza, choć nie mam wprawdzie myszy w mojem mieszkaniu. Tymczasem doszliśmy do bramy pocztowéj i gdy ją wskazałem chłopczynie, poskoczył uradowany, dziękując mi raz jeszcze zręcznem i pokornem uchyleniem kapelusza.

O, nie dziw, pomyślałem, odchodząc, że kocha staruszkę, która weń tak poczciwe wpoiła zasady. Żebrać w potrzebie nie jest grzechem, lecz kto mogąc pracować, datki przyjmuje i na jałmużnę się ogląda, ciężko obraża Boga, a nawet popełnia zbrodnię godną najsurowszéj kary.

Opieka Matki Boskiéj.

—

W Warszawie, niedaleko rogatek, w małéj izdebce na poddaszu, leżała chora kobieta— i od czasu do czasu jękiem przerywała ciszę nocną. Postać jéj wybladła, głos, w piersiach zamierający i nędza dokoła świadczyły, że chora oddawna cierpi i bliską jest już śmierci.— Niedaleko łóżka siedziały dwie kobiety, śledząc poruszenia umierającéj, i niekiedy zcicha odzywały się do siebie. W końcu łóżka spały dwie dziewczynki każda około dziesięć lat mające, ich główki spoczywały, w miejsce poduszek na garstce słomy.—„Jak się wam zdaje, rzekła Janowa, nasza Łazowska już kończy.“

—„Niech Bóg się zlituje nad jéj cierpieniami i prędzéj zabierze do swojéj chwały, odrzekła Wojciechowa— ale cóż my zrobimy z jéj dziećmi? my ubogie, nie mamy czém karmić; biedne sieroty pójdą pomiędzy ludzi w poniewierkę, bo matczysko dopóki mogła, karmiła, okrywała, za ostatni grosz ciężko zapracowany, pamiętała o ich wygodach, i jak oczy w głowie, tak ona swoje bliźniaczki chroniła od złego; a teraz przyszło im na biedę.—„Kasia! Marcysia! wstawajcie, zawołały kobiety, pożegnać umierającą matulę.

—„Umiera matka! krzyknęły dziewczynki, i zerwawszy się z posłania, upadły na kolana a płacząc, zaczęły się modlić. Wyciągnęła matka nad niemi ręce, i słabym głosem wyrzekła— „Niech wami opiekuje się Matka Boska“— i jeszcze coś niewyraźnie mówiła, aż oczy zamknęły się na zawsze, zpod których dwie łzy ostatnie potoczyły się po policzkach.

Niedługo potem krzątały się sąsiadki koło obmycia ciała i ubrania umarłéj, a o dzieciach w tem zamieszaniu wszyscy zapomnieli. Już było ku wieczorowi, mróz się wzmagał coraz silniéj, w izbie nieopalonéj zimno przejmowało mieszkańców, i w pustych kątach nie było ani kawałka chleba, ani grosza pieniędzy. Głód dokuczał dziewczynkom, jednak one milczały, siedząc zapłakane obok ciała matki.

—„Kasiu, tyś głodna, przerwała w końcu Marysia, ja wyjdę trochę na miasto tędy chodzą bogaci ludzie, i poproszę dla ciebie chleba.“ „Nie rób tego Marcysiu, bo wstyd żebrać.“ „Prawda, i ja to sama znam, ale cóż zrobimy, i nasza Wojciechowa nie ma chleba, a nim wuj dowie się i przyjdzie do nas, to my pomrzemy z głodu“—I nie czekając odpowiedzi siostry, wysunęła się dziewczynka i biegła w letniéj spódniczce przez Krakowskie - Przedmieście. Mróz przejął wpół nagie dziewczę, nieświadome dróg ani miejsca, spłakało się biedne dziecko— aż w końcu nie mogąc trafić do domu, po kilkogodzinnem tułaniu się po ulicach, upadło zdrę-

twiałe pod murem, i gdyby chwila dłużéj, zostałaby sierota bez ratunku. Wtem powóz przesuwał się powoli, a siedząca w nim dama spoglądała na ubogich przechodniów i jakby szukała nieszczęśliwych którzyby jéj pomocy potrzebowali. — Dostrzegła pod murem dziewczynkę i kareta w tem miejscu zatrzymała się na rozkaz pani. Lokaj podał zsiniałą dziecinę do powozu, a Pani wzięła pod futro i zaczęła rozcierać ciało, by powrócić bieg krwi stygnącéj. — „Najbliżéj do zakładu Opieki Matki Boskiéj, jedź prędko, wyrzekła Pani do stangreta — i tam pierwszy ratunek udzielony był sierocie, a następnie odwiozła Pani sierotę do zakładu św. Wincentego a Paulo gdzie dozorczynie złożyły ją z troskliwością w ciepłe łóżko — lecz z przeziębienia i głodu opanowała ją silna gorączka, i Marcysia leżąc bezprzytomnie, nie wiedziała, co się koło niéj dzieje i nie mogła wytłumaczyć sobie zkąd się tu wzięła i czy ma rodziców? Tymczasem w izdebce pod strychem płakała Kasia matki i siostry a jéj sąsiadki i jedyne opiekunki Janowa i Wojciechowa szukały Marcysi, Kasię zaś uspokajały ile mogły. Lecz parswazye były próżne, bo dziewczynka przemyśliwała tylko, jakby wyjść zpod dozoru sąsiadek dla szukania kochanéj swéj siostry. — W miesiąc po tym wypadku wyszła Kasia jednego poranku i kiedy na noc nie wróciła do domu, kobiety z żalem mówiły pomiędzy sobą: „Zapewne Bóg powoła do siebie i drugą sierotkę, bo one nie mogą żyć jedna bez drugiéj. — I w stancyi pod strychem inni nastali lokatorowie i nikt już nie mówił o sierotach.

A z Kasią co się stało? Jak wyszła z domu, spieszyła na Krakowskie-Przedmieście, bo wiedziała, że tam poszła Marcysia; po drodze rozpytywała się przekupek i sług idących, czy nie słyszały o zabłąkanéj siostrze? Nie zważała Kasia na zimno, i tak chodząc kilka godzin po ulicach, zziębnięta zbliżyła się do zakładu św. Wincentego a Paulo — a nie wiedząc o tym przytułku, że mogłaby tam znaleść schronienie, już mijała ten zakład, ale spostrzegła ją Opiekunka ubogich i wprowadziła sierotę do przytułku. Nieśmiało, z oczyma spuszczonemi, weszła dziewczynka i kiedy wzrok podniosła do góry, pierwszy widok co ją uderzył, była to Marcysia, jeszcze słaba, leżąca na czystem posłaniu i wygodnem łóżeczku. Któż zdoła opisać radość serc kochających się, gdy po tak nagłém rozłączeniu znajdą się niespodzianie.

Zapomniała Kasia, że jest w obcem miejscu, i że tyle osób rozczulonych patrzy na nią, a między niemi była i szanowna opiekunka; rzuciła się dziewczynka w objęcia Marcysi i ze łzami radości całowała jéj buzię, rączki, nie wierząc prawie własnemu wzrokowi że widzi straconą siostrę.

Takim sposobem uszczęśliwione dwie sieroty żyją razem w zakładzie św. Wincentego a Paulo. Prawdziwie że opieka Matki Boskiéj z błogosławieństwem matki sprowadziła je pod ten dach dobroczynny.

Zdania.

1. Nie mów źle o drugich, bo kto o innych źle mawiać lubi, sam pewno mało wart jest.
2. Dobre przykłady rodziców są najlepszą szkołą dla dzieci.
3. Wstrzemięźliwość i pilność są sługami pomyślności — tak jak zbytek i lenistwo sługami niedoli.
4. Nie odrzucaj próśb utrapionego, a nie odwracaj oblicza od potrzebującego.
5. Kto daje ubogiemu, nie zubożeje, kto gardzi proszącym, będzie niedostatek cierpiał.
6. Gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica, co daje prawica.
7. Największym skarbem człowieka jest poczciwość, pilnujże go dobrze.
8. Kobieta powinna mieć cnotę w sercu, skromność na czole, łagodność na ustach, a robotę w ręku.
9. Kto się wstydzi pracować, dlatego, że niższi od niego ludzie zajmują się pracą, ten jeszcze bardziéj wstydzić się powinien jeść, bo niższe jeszcze istoty od ludzi zajmują się jedzeniem.
10. Wszystko, co będziesz czynił chętnie, pójdzie ci łatwo.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. Warszawa d. 5 (17) Września 1856 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*